

Zmierzchało niemalże całkowicie, gdy na polnej ścieżce ukazała się blada postać. Fenicki wyszedł akurat na ganek, gdzie delektował się pierwszym i ostatnim tego dnia papierosem. Spróbował dopasować sylwetkę do człowieka. Gdy w końcu udało mu się tego dokonać, z głębi gardła uleciało ciche przekleństwo, a niedopałek wypadł mu z dłoni.

- Tylko tej jeszcze dzisiaj brakowało... - wyszeptał, a jego usta zbiegły się w wąską kreskę.

Miał ewidentnie dość pracy i tak naprawdę zamierzał złożyć głowę na poduszce równo z chwilą, w której słońce schowa swój wielki, złoty łeb, za nierówną linią grzbietu iglastego młodnika. Przed nim jak czarny wąż zakręcała asfaltowa droga, którą docierali do lecznicy pacjenci. Dostawali się tu o siłach własnych bądź z pomocą dobrych ludzi, którzy zamieszkiwali okoliczne wsie. Każdy z nich wiedział, że wieczorem i w noc, można było go wzywać jedynie w nagłych przypadkach. W przypadkach, które dawały mu pewną władzę i wybór między życiem a śmiercią. Przypadek, z którym stawiając małe kroki swoich czarnych, podwyższanych butów Smoguniowa szła do niego, nie mógł być jednym z nich. Minęła trzy krzaki porzeczek, które rosły od strony drogi i po chwili tupąła po jej czarnym asfalcie.

- Panie doktorze, jak bardzo się cieszę, że pana doktora zastałam! – rzuciła radosnym szczebiotem i uśmiechnęła się filuternie. Doktor uśmiechnął się na siłę, nie odsłaniając jednak przy tym zębów. Po zostawił je bowiem zaciśnięte. Ewidentnie nie podzielał jej radości.

- Co panią sprowadza? – zapytał w końcu grzecznie i oparł się ciężko o balustradę. Przesunąwszy po niej dłonią, stwierdził że farba odłazi dużymi płatami i w najbliższych tygodniach, przed nastaniem deszczów, będzie trzeba pomalować. Damulka spojrzała na niego wymownie. Następnie rozejrzała się w prawo i w lewo, jakby sprawdzając czy nikt za nią nie stoi.

- Wolalabym... Wie pan, na osobności – powiedziała cicho i otworzyła skrzypiącą furtkę. Zamknęła ją za sobą, pilnując by nie jęknęła przy zatraskiwaniu. Podeszła bliżej. Fenicki zrozumiał w tym momencie, że nie pozostaje mu nic innego, jak zaprosić kobietę do środka lub wywalić na zbity pysk. Tego drugiego nie wypadało mu jednak uczynić, bowiem nie zniosłaby tego jego własna, osobista kultura. Nie zamierzał jej tracić nawet w takiej sytuacji. Skinął więc zamaszystym gestem, jakby nabierał wody w dłoń i wskazał Smoguniowej szerokie, otwarte usta domu z ciężką moskitierą. Wyrzucił niedopałek w stronę płotu i odsunął kotarę chroniącą przed insektami. Za dnia jego pomocnik, Józef Mencfał (którego w myślach doktor zwał bęcwałem i bał się, że w końcu na głos tak się do niego odezwie), wietrzył otwierając okna. To też obecnie moskitiera ze starej, gęsto plecionej firanki chroniła przed insektami tego, co stał na werandzie, bo wszystkie latające, gryzące i pełzające robaki były już w domu, gdzie kilka godzin wcześniej schroniły się przed upałem.

Smoguniowa radośnie schyliła się w progu pod ramieniem doktora przytrzymującego moskitierę i jakby zawahała. Zapach męczyzny uderzył głęboko w struny fortepianu, który nosiła we wnętrzu. Ten wydał z siebie zniewalający akord i kobieta poczuła, jak jej nogi uginają się od tej niezwykle mieszanki zapachów jego koszuli, markowej wody po goleniu oraz drogich papierosów, które zwykł wieczorem palić na ganku. Wiedziała o tym doskonale, bowiem trzeci już dzień obserwowała go przez teleskop z małego okna na poddaszu swojego domku. Szczęśliwym trafem nie dostała udaru, ponieważ gorąca lawa ciężkiego powietrza na strychu, zagraconym świątecznymi ozdobami, sankami, starymi wędkami oraz parasolami z kolekcji szurniętej ciotki Gertrudy, osiągała po południu temperaturę zbliżoną do sześćdziesięciu stopni.

Ryzykowała więc wiele, lecz jej zdaniem nie było to wielkim poświęceniem. Dzięki swoim obserwacjom знаła bowiem wszelkie zwyczaje nowego doktora i wiedziała, że będzie on dzisiaj sam na ganku. Właściwie nie sam, lecz z nią, pomyślała gdy wciskała na siebie obcisłą, jaskrawożółtą sukienkę z falbankami nad kolanem. Przypominała ona z lekka odświętną koszulkę do spania, którą z uczuciem podobnym do wstydu przymierzała kilka razy w roku. Następnie chowała ciuszek głęboko do szafy i schładzała lodowatym strumieniem wody swoje rozgrzane lico. Sukienka była jednak znacznie bardziej od koszulki opięta i podkreślała jej kobiecą figurę. Miała Smoguniowa lat dwadzieścia i osiem, a wraz z osiągnięciem tego wieku jej biodra dopasowały się idealnie do proporcji ramion, których szczupłość pasowała z kolei do długich, lecz zgrabnych nóg z ładną linią łydki, załamującą się w kolanie i biegnącą od nowa po udzie aż do kwiata, który skryła pod lekkimi majteczkami z bawełny. Kwitła i czuła to w sobie od kilku miesięcy wyraźniej, niż kiedykolwiek wcześniej. W tej chwili myśląc jedynie o zapachu mężczyzny, do którego przyszła z nadejściem wieczorowej pory, stanęła przed stolikiem z ciemnego drewna i złączywszy nogi czekała, aż zamkną się ciężkie drzwi przychodni.

Doktor przeszedł obok niej, wskazując dłonią wolne krzesło, po czym rozsiadł się ciężko po drugiej stronie stolika. Zahaczył przy tym o biały, wyszywany obrus. Pociągnął go za sobą i niemalże zrzucił szklanekę z chłodną już herbatą, którą w ostatnim momencie złapał. Kilka kropel spadło, znacząc obrus rosnącymi w jednej chwili plamami.

- Ależ pan doktor ma refleks! – zachichotała z uznaniem Smoguniowa i poruszyła swoim okrągłym tyłkiem na twardym krześle.

- Tak. Refleksem można trochę niezgrabność przysłonić – skomentował smętnie i zastanawiał się, co też może sprowadzać do niego tę kobietę. Bał się wręcz zapytać, chociaż tak naprawdę nie tyle samo pytanie, co odpowiedź, wydawała mu się z góry straszna. Musiał jednak ruszyć naprzód. Rozpocząć coś, co na wstępie miał zamiar zakończyć.

– Co panią do mnie sprowadza? – zapytał w końcu z nadzieją, że tak naprawdę kobieta przyszła zaprosić go na niedzielny piknik, który organizowała wraz z Kociębową. Smoguniowa uśmiechnęła się blado.

- Wie pan, panie doktorze – powiedziała wstydliwie – potrzebuję, by pan doktor mnie dokładnie zbadał.

Fenicki westchnął ciężko.

- Przecież wie pani, że powinna do Laskowa, do doktora Janickiego pojechać w tej sprawie.

Podrapała się nerwowo za uchem, po czym położyła dłonie na stoliku, by mógł ujrzeć jej pokryte różowym lakierem paznokcie.

- Jego się wstydzę. Wolałabym, żeby pan doktor... - ściszyła głos i spojrzała mu w oczy.

- Ja niemniej nie jestem od tego. Wie pani przecież – powiedział powoli i uciekł wzrokiem.

- Panie doktorze, pan się na wszystkim zna. Pana się nie wstydzę, jak doktora Janickiego. Dlatego przyszłam.

- Pani Smoguniowa, ja nawet nie powinienem... Nie mogę pani badać!

- Panie doktorze... - wyszeptała ponownie wczepiając się wzrokiem w jego twarz. Doktor przesunął palcami po bujnej czuprynie swoich jasnych włosów, opadających falą na prawą stronę. Miał ciemniejsze brwi, co przez chwilę ją zastanowiło. Przyglądała się jednak dalej brązowej twarzy i ciemnym ramionom doktora, by stwierdzić że to słońce rozjaśniło jego fryzurę. Fenicki uśmiechnął się, skrywając zakłopotanie i mogła zobaczyć błyszczące, białe zęby odsłonięte na moment przez męskie, twarde i mięsiste usta. Kiedy pomyślała sobie, że doktor mógłby jej dotknąć tymi ustami, jej ciało przeszedł gorący dreszcz. Bezwiednie rozchyliła wargi i westchnęła cicho. – Kiedy ja pana tak bardzo proszę...

- Nie mogę! – Pokręcił głową. – Niech pani zrozumie, że nie mogę tego zrobić, bo mogę stracić licencję!

- Ależ panie doktorze... – powiedziała cicho, kładąc na jego dłoni swoje długie palce. Przechyliła się nad stolikiem w taki sposób, że jej twarde piersi prawie wyskoczyły z przyciasnego stanika i zdawały się patrzeć na niego jak wybałuszone ślepia młodego cielaka. – Przecież nikt się o tym nie dowie.

- Pani Smoguniowa. – Rozpoczął budowanie kolejnej linii obrony, lecz błyskawicznie mu przerwała.

- Elwiro. Proszę mi mówić po imieniu.

- Dobrze – zgodził się zrezygnowany i pogładził dłonią swoją czuprynę. Kiedy zanurzył palce we włosach, usta kobiety otworzyły się, ukazując szparę szerokości dwóch sklejonych ze sobą pięciozłotówek. – Więc, pani Elwiro...

- Tylko Elwiro – przerwała mu ponownie.

Fenicki westchnął.

- Dobrze, Elwiro...

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Ja naprawdę nie mogę cię badać. Twój wstyd przed doktorem Janickim nie powinien mieć miejsca. To dobry lekarz. Poza tym, w swojej przychodni może większość dodatkowych badań wykonać, lub nawet do szpitala na rentgen wysłać, jeżeli zajdzie taka potrzeba. A co ja tutaj mógłbym? – Wskazał jej dłonią wnętrze swojego gabinetu, który stanowiło pół pokoju wydzielonego białym parawanem. – Sama widzisz, że ja nawet kozetki nie mam.

- Ależ panie doktorze, jakby pan chociaż w gardło mi zajrzał i na oko ocenił, czy wszystko dobrze ze mną, to ja już bym do Laskowa jechać nie musiała!

- Nie mogę... - wyszeptał i dziękował w duchu, że nie zaczęła mu mówić po imieniu. Zapewne czekała, aż wypije z nią bruderszaft i najlepiej mocno się w trakcie przytuli. Nie chciał jej ku temu prowokować. Walczył w duchu z demonem snu, który coraz mocniej chwycił jego myśli. Walczył również z demonem uprzejmości, który zgodnie z kulturalnym zwyczajem nakazywał mu zaproponować jej herbatę. Demon wygody krzyczał mu z kolei głośno, dobitnie, wprost do ucha, że ma jej niczym nie częstować, bo wtedy szybciej sobie pójdzie. Temu ostatniemu wtórował właśnie demon snu powtarzając, że ma jej nie dawać niczego, co mogłoby przedłużyć jej pobyt. Jemu również zależało na tym, by kobieta czym prędzej opuściła dom doktora.

- Proszę pana bardzo. Dla pana to tylko rzucić okiem, a ja bym była niezmiernie wdzięczna. – Konty-

nuowała młoda kobieta poprawiając swoją pozycję na krześle, które zdawało się stawać coraz to gorętszym pod jej twardymi pośladkami. Kręciła się tak przez chwilę nerwowo, przyglądając się twarzy doktora i szykowała w głowie jakąś myśl kalibru znacznie większego, niż poprzednie. – Bo wie pan, ja noszę spiralę, co mi ją rok temu doktor w Warszawie założył, jak na kursie byłam. Tak sobie myślę, że ją też zobaczyć trzeba, czy nic się nie poluzowało.

- Pani Smoguniowa...

- Elwiro! – poprawiła go naprędce. Z każdą chwilą zdawała mu się rosnać w siłę i potężnieć, przez co najzwyczajniej w świecie zaczynał się jej bać. Z początku jej nieśmiałość nie pozwalała rozpocząć rozmowy, by wkrótce przemożona pozwoliła zajrzeć do gardła, a w tej chwili proponować mu dotarcie wzrokiem tam, gdzie najmniej miał ochotę zaglądać.

- To już w ogóle nie wchodzi w grę – powiedział zrezygnowany i otarł z czoła krople potu, które wystąpiły na nie jak lekka rosa na trawę przed gankiem. – Nie mam do tego odpowiednich narzędzi, a bez nich nie da rady.

- Na pewno doktor coś wymyśli... - powiedziała filuternie Elwira i zalotnie, jak się jej zdawało, wpatrywała się w duże i ciemne oczy Fenickiego. Ponownie wybałuszyła na niego swoje twarde, okryte do połowy stanikiem cycki. Dopiero teraz dostrzegł, że lewy jest ciut większy od prawego, lecz nie zamierzał zaprzętać sobie tym faktem głowy.

- Nie wymyślę – powiedział w końcu szorstko. – Nie zamierzam ryzykować utraty uprawnień do wykonywania zawodu.

- Ależ panie doktorze, przecież nikt...

- Nie obchodzi mnie to, czy ktoś się dowie, lub nie. Cała ta sytuacja przypomina mi klepanie po tyłku tygrysa na wolności.

- Słucham?!

- Tygrysa na wolności klepanie po zadzie. Przyjemność znikoma, a ryzyko ogromne, pojmujesz, Elwiro?

Ta siedziała wpatrzona w niego z rosnącą złością, która zdawała się pompować jej piersi. Raz po raz nadymały się jak żaba nad stawem, bo odpuścić i zmaleć, chowając się na powrót w kieszeni stanika.

- Więc nawet mnie pan nie obejrzy? – zapytała w końcu oburzona, a jej klatka piersiowa zdawała się falować coraz szybciej.

- Nawet nie obejrzę – odparł tym samym tonem, którym zwrócił się do niej poprzednio. Westchnął przy tym ciężko i oparł dłonie o blat stołu. Usta Elwiry Smoguniowej zadrżały. O ile wcześniej wpatrywała się w niego z podziwem, uznaniem i ciekawością, teraz jej szare oczy przybrały wyraźny wojenny wyraz i zaszkliły się grubym filmem łez. Duma Elwiry nie pozwoliła wypuścić nadmiaru słonej wilgoci z przepełnionych basenów. Trwała więc tak przez chwilę, balansując powiekami, aż w końcu nagle zerwała się z krzesła, wyprostowała jak brzoza po mocnym podmuchu wiatru i uderzyła w stół małą piąstką. Bezpośrednio po tym obróciła się równie gwałtownie, jak wstała i ruszyła w stronę drzwi, mocno uderzając obcasami podwyższanych butów w szare deski podłogi. Otworzyła drzwi i jednym susem pokonała cztery

stopnie, jakby nad nimi przelatując. Doktor stanął w drzwiach i przyglądał się jej. Odwróciła się w jego stronę, łapiąc już za furtkę.

- Co z pana za doktor?! – wrzasnęła tak, że gdyby nie okrutne wzburzenie, przestraszyłaby sama siebie. Obróciła się na pięcie i trzasnęła mocno furtką. Jej kroki słyszał doktor jeszcze chwilę na asfalcie, gdzie stukały szybko i równomiernie, aż nagle ucichły i domyślił się, że zeszła już w pełną drogę. Fenicki wyszedł dalej na ganek. Roztrzęsionymi ze zdenerwowania dłońmi wysupłał ze zgniecionej w spodniach paczki grubego, krzywego papierosa i wsunął go w usta. Dopiero trzecia zapalka, gwałtownie potarta o draskę pudełka, trzasnęła właściwie i błysnęła iskrami. Czerwonawy blask rozzłócił się ogniem. Ten uformował dużą, spokojnie bujającą się w dobrze natlenionym, wieczornym powietrzu łzę. Fenicki zbliżył ją do papierosa, który przyjął temperaturę i po chwili błysnął jak świetlik kołyszący się niezgrabnie w ciemnej nocy. Raz po raz doktor zaciągał się papierosem i kręcił głową bez słowa. Jedyne, co dodawało mu otuchy to fakt, że Smoguniowa nie odwiedzi go już w tym tygodniu. A przy dobrych wiatrach nie przyjdzie przed skrajem lata. Przy jeszcze większym szczęściu z jego strony, w ogóle nie zawita w gabinecie, do kiedy on tam będzie urzędował.

- Po jaką cholere te baby pchają się akurat na mnie? Mogłaby sobie upatrzyć tego Antka Poleźniczaka i jemu obiady małżeńskie gotować na chwałę pańską. Gdyby tak mniej ich było, mógłbym przynajmniej żonę sobie wybrać i z nią pod jednym dachem żyć szczęśliwie. Ale boję się, że te zazdrosne cholery, jak Smoguniowa, gotowe ją otruć po tygodniu. Zresztą, ja i małżeństwo...

- Dobrze, że nie zostałem ginekologiem... - Wzdrygnął się po raz kolejny i zaciągnął głęboko papierosem, którego pozostałość parzyła już palce. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien iść w ślady brata i wraz z nim przejąć zakład po dziadku. Zdawało mu się bowiem, że mechanicy samochodowi mają mniej-
szy kontakt z kobietami. Jeżeli do takiego warsztatu przyjeżdżali praktycznie sami mężczyźni, żadna nie-
wiasta nie nachodziłaby go w pracy. Zdawało mu się, że do końca swojej lekarskiej praktyki, skazany był
jednak na obcowanie z płcią przeciwną. Z płcią przedziwną.

- Co z pana za doktor! – zaintonował złośliwie, naśladując głos Elwiry.

- Normalny, weterynarz! – krzyknął cicho sam do siebie i wszedł do domu.

Musiał jednak przyznać, że Elwira była piękną kobietą. W dodatku młodą i niezwykle zgrabną. Byłaby mogła się nadać nawet na jego małżonkę. Doktor jednak nie bardzo miał ochotę na ożenek. Możliwe, że byłoby inaczej, gdyby nie kochał się z wzajemnością w doktorze Kopańskim, z którym to dzielił praktyki i łóżko w Słupsku. A może w ogóle nie miało to znaczenia, tylko Elwira była dla niego trochę zbyt natrętna?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Etuard Tomson, dodano 08.01.2014 11:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.